

KRZYSZTOF PENDERECKI DLA DZIENNIKA:
poniedziałek 24 listopada 2008 04:36

"Żyję z dala od tego współczesnego zgiełku"



Uniwersum Krzysztofa Pendereckiego to kosmos człowieka spełnionego, ale też odciętego od problemów dzisiejszego świata, kultury, muzyki. Nic dziwnego, że wybitny kompozytor u schyłku błyskotliwej kariery powraca myślami do dzieciństwa. Współczesność jawi mu się jako domena moralnego chaosu, ignorancji i głuchoty. Przy okazji 75. rocznicy urodzin wybitny kompozytor udzielił wywiadu DZIENNIKOWI.

Michał Mendyk: 75 lat to dziś więcej niż epoka. W odniesieniu do własnej twórczości bardzo często używa pan metafory arki. Czy istnieje coś, czego nie udało się ocalić?

Krzysztof Penderecki: Niestety, bardzo wielu rzeczy. Wychowałem się w zupełnie innej rzeczywistości, o wiele barwniejszej, bogatszej kulturowo. W moim rodzinnym domu na porządku dziennym było wspólne czytanie literatury greckiej i rzymskiej oraz długie, poważne dyskusje. Chodziło się też regularnie na spacer, podczas których dziadek uczył mnie łacińskich nazw drzew - stąd moje późniejsze zainteresowanie botaniką. Pamiętam, że parę razy zabrał mnie nawet na wagar! "Po co masz iść do szkoły?" - żartował - "Nakładą ci tam tylko do głowy sowieckiej propagandy".

Z kolei ojciec regularnie muzykował z kolegami i uczył mnie gry na skrzypcach. Obowiązkowe dwadzieścia minut ćwiczeń dziennie, a za każdą dodatkową otrzymywałem od dziadka drobne na cukierki. Muszę przyznać, że to bardzo dobra metoda. Nic dziwnego, że już w wieku sześciu lat zacząłem komponować. Pamiętam, jak na urodziny babci napisałem poloneza - zagrałem wtedy na skrzypcach, a ojciec akompaniował mi na fortepianie. Muszę zaznaczyć, że nie pochodziłem z rodziny profesjonalnych muzyków, lecz z porządnej mieszczańskiej rodziny. Dziadek był bankowcem, a ojciec adwokatem i nie traktował początkowo moich kompozytorskich zapędów zbyt poważnie. "No dobrze, chcesz być muzykiem - mówił - Ale z czego ty, Krzysiu, będziesz żył?". Zdanie zmienił dopiero, gdy wyjechałem do Krakowa i zacząłem odnosić pierwsze sukcesy.

Chyba także religijny światopogląd, który od samego początku przeniknął do pana twórczości, odziedziczony został po przodkach? Powiedział pan kiedyś, że kompozytorowi potrzebna jest w zasadzie jedna książka - Pismo Święte.

To była moja pierwsza i najważniejsza lektura. Do dziś trzymam na półce przepiękne wydanie Biblii z lat 20. Wychowany zostałem w bardzo religijnym, wręcz purystycznym duchu. W domu np. nie było nigdy alkoholu, bo to grzech. Natomiast życie codzienne związane było nierozłącznie ze sferą sacrum, a kościół stanowił w pewnym sensie centrum życia towarzyskiego i muzycznego (niestety na niezbyt wysokim poziomie). Przez pewien czas pełniłem funkcję kalikanta - dziś niewiele osób pamięta pewnie, co to znaczy. Otóż organy nie miały elektrycznego napędu, więc powietrze w miechy tłoczyli chłopcy. Przepiękna muzyka dobiegała z synagogi, położonej bezpośrednio za naszym podwórkiem. Wtedy nie było problemu nietolerancji. Dębica miała tylko dwa kościoły i aż siedem bożnic. Dziś została jedna.

Którą po 1989 r. zwrócono krakowskiej gminie żydowskiej, a jednak wciąż mieści się w niej dom handlowy...

Cóż, z tego, co wiem, nie ma już w Dębicy ani jednego Żyda. Ale to też znak naszych czasów. Od kilkudziesięciu lat dokonuje się radykalna rewolucja na wszystkich płaszczyznach, całkowite przetasowanie zainteresowań, wzorców, dążeń. W etyce, sztuce, literaturze daje się wyczuć całkowity brak stabilizacji, fundamentów i szczerze wątpię, by zmierzało to w jakimś sensownym kierunku. Dlatego na przekór wszystkiemu coraz bardziej się zakorzeniam, zamykam we własnym świecie. Jednak już moje wnuki nie mają takiej możliwości. Pomimo starań rodziców nie przeżyją na pewno tak cudownego dzieciństwa jak moje.

Ostatnio coraz chętniej opowiada pan właśnie o domu rodzinnym. Czy przekłada się to także na aurę i tematykę twórczości? Myślę chociażby o zapowiadanej przez pana operze dla dzieci.

Oczywiście. Dlatego chyba ta opera jest dla mnie nawet ważniejsza niż planowana prawie od ćwierćwiecza "Fedra". Jeśli chodzi o libretto, to rozważam "Dziadka do orzechów" - najważniejszą książkę mojego dzieciństwa. Dziś nie powstają już tak barwne opowiadania. Pożyczyłem kiedyś od wnuczki pierwszy tom "Harry'ego Pottera" - nie udało mi się przebrnąć nawet przez pierwsze 20 stron. Autobiograficzne wątki pojawiają się też w III Kwartecie smyczkowym, który miał światową premierę na warszawskim festiwalu. Dlatego postanowiłem ostatecznie nadać mu tytuł "Kartki z nienapisanego dziennika". W pewnym momencie pojawia się tam np. temat o karpackiej, niemal rumuńskiej proveniencji, który obsesyjnie grywał na skrzypcach mój ojciec. Przywiózł go z Ukrainy - musiał stamtąd uciekać wraz z matką Ormianką podczas I wojny światowej. Nie tylko Żydów dotknęły wówczas pogromy.

Pańska muzyka jest jednak związana przede wszystkim z tradycją niemiecką?

To dlatego, że większość wybitnej muzyki, co najmniej od czasów Bacha, powstała właśnie w kręgach germańskich. Wyjątkowo bliska jest mi jednak również tamtejsza poezja oraz specyficzny typ duchowości. Może dlatego, że pradziadkowie od strony mamy byli Niemcami, co absolutnie nie przeszkadzało im dzieciom zostać polskimi patriotami. Wszyscy synowie wstąpili do legionów Piłsudskiego. Najmłodszy przerwał w tym celu gimnazjum i zginął na froncie. Dwaj kolejni zamordowani zostali na Pawiaku i w Katyniu. W moim domu ojczyzna też była na pierwszym miejscu. Dopiero potem Bóg i rodzina.

Świadomość pańskiego pokolenia ukształtowały trudne doświadczenia historyczne. Nie pozostało to chyba bez wpływu na mroczny, sakralny i monumentalny charakter pana twórczości?

Bez wątplenia. Przecież zarówno moje wczesne awangardowe eksperymenty, jak i zainteresowanie tematyką sakralną były formami buntu. Sposobem pokazania, po której stronie barykady się stoi. Przełomową Pasję Łukaszową napisałem w wieku trzydziestu kilku lat z myślą o millenium chrztu Polski, które starano się marginalizować w oficjalnych mediach. Myślę, że aby być dobrym kompozytorem, trzeba po prostu coś przeżyć. Chyba tego brakuje młodemu pokoleniu twórców wychowanemu bezstresowo, z daleka od wszelkich wojen i totalitaryzmów.

To dlatego nie ma dziś kompozytorów na miarę zmarłych niedawno Xenakisa i Stockhausena?

Proszę nie zapominać o ich nauczycielu Olivierze Messiaenie, którego setną rocznicę urodzin obchodzimy! Choć traktowany był przez nich dosyć protekcjonalnie, to już symfonia "Turangalila" - utwór skomponowany 60 lat temu - była o wiele bardziej awangardowa niż wszystko, co później udało się osiągnąć Xenakisowi czy Stockhausenowi.

Myślę, że powodów stagnacji w muzyce jest o wiele więcej. Ogromną rolę odgrywa trauma awangardy u młodych kompozytorów, którzy wciąż powielają nasze pomysły sprzed półwiecza. Brakuje wielkich indywidualności, które mogłyby popchnąć muzykę do przodu. Dla porównania: w szóstej dekadzie moje pokolenie uznawało pomysły Schoenberga z lat 30. za zbyt archaiczne, by do nich nawiązywać. W opłakanym stanie jest też niestety edukacja muzyczna. Aby stworzyć coś nowego, trzeba najpierw zgłębić tradycję. A dziś kończy się studia z mizerną znajomością sztuki kontrapunktu oraz instrumentacji. Niestety tych umiejętności uczą w Polsce ludzie, którzy sami ich dobrze nie opanowali. Dobrze pisać na orkiestrę potrafi w kraju może kilku kompozytorów. Na świecie jest jeszcze gorzej.

Podsumujmy: najbardziej opłacalną inwestycją stanowią dziś aparaty słuchowe, zaś kluczowym wydarzeniem politycznym jest kłótnia premiera z prezydentem o to, kto ma polecieć do Brukseli. Jak w takich czasach odnajduje się twórca Pasji Łukaszowej i Requiem Polskiego?

Żyję obok tego zgiełku i robię swoje. Z wiekiem coraz mniej interesują mnie rzeczy błahe, także w muzyce. Nie napiszę już raczej żadnej opery buffo, choć po "Królu Ubu" byłoby to bardzo łatwe. Po prostu szkoda mi czasu. Przede mną na pewno dwie symfonie: Szósta i ostatnia - Dziewiąta, a także planowana od wielu lat Pasja Janowa. Nie spieszę się - przecież może się okazać, że będzie to także moja własna pasja.